

Chrzest i śmierć. Fragmentarium nieteologiczne

Zbigniew Mikotejko

Chrzest Chrystusa w Jordanie, kościół San Vitale, Ravenna 551–575



Nie będzie usprawiedliwiony,
gdy będzie postępował w zatwardziałości
swego serca,

lecz ciemność uzna za drogi światłości
i do doskonałych nie będzie zaliczony.

Nie oczyści się pokutą

i nie obmyje go woda oczyszczenia.

Reguła Zrzeszenia z Qumran, 3, 3–4¹

1.

Najbardziej niechaj będzie zeznanie intymne.

Niedawno, przed paru ledwie laty, w zimny, surowy dzień mnie i mojemu przyjacielowi-poecie, który miał stosowne znajomości, zakonnicy – zajęci właśnie smakowicie pachnącym obiadem – wręczyli klucze i pozwolili samodzielnie, bez żadnej kurateli, zwiedzić pewien piękny gotycki kościół na Warmii będący pod ich pieczę. Ta cudowna ascetyczna budowla była właśnie w remoncie, mogliśmy się więc dostać do jej wnętrza jedynie skromnym, pokątnym wejściem, znajdującym się gdzieś na tyłach ołtarza głównego – aby łatwo, niezależnie od kaprysów pogody, przechodzić można było między klasztorem a świątynią.

Zafascynowani owym tonącym w pyle i półmroku wnętrzem, z racji intensywnych konserwatorskich robót przywodzącym na myśl zminiaturyzowane „Więzienia” Piranesiego, i późnorennesansowym nagrobkiem Andrzeja i Baltazara Batorych, dziełem Willema van den Blocke z 1598 roku, skądinąd cenotafem², dopiero przy wyjściu zauważyliśmy dwa białe plastikowe wiadra, takie po proszku do prania, które stały za ołtarzem. Na pokrywce jednego

z nich ktoś nabazgrał czarnym flamastrem: „woda święcona”, na pokrywce drugiego – „woda zwykła”.

Nie zamierzam ukrywać: odezwała się w nas obu paskudna i zapewne demoniczna pokusa, aby zamienić pokrywki. Chwilę walczyliśmy z tym pragnieniem, jednak ostatecznie zwyciężyła w nas, jak sądziliśmy, przyzwoitość nakazująca szacunek dla wiary i, jak sądziliśmy, lojalność wobec tak ufnych gospodarzy. No i, jak sądziliśmy... Nie, nie należy mieszać tych trzech motywów. Nie należy mieszać, gdyż dopiero teraz, w wewnętrznym rozrachunku z samym sobą (każdy ma takie soliloquia, na jakie zasługuje) odkryłem: tylko dwa pierwsze z nich wymieniliśmy na głos, w cichej rozmowie, a o trzecim nie rzekliśmy ani słowa, choć przecież poczuliśmy obaj, że jest tutaj „coś jeszcze”. Coś, co nie chciało od zaraz poddać się logos, łącząc się przy tym ze wstydliwym lękiem, prącym właśnie do niewystowienia i pewnej maskarady, pewnej nieautentyczności.

Nie bez znaczenia był fakt, że przed laty mój przyjaciel-poeta ochrzczony został w tym warmińskim kościele³ – obmyty świętą wodą życia, tym samym zatem gotów do bezpiecznej żeglugi poprzez mare christianum.

Odezwał się więc w naszych postchrześcijańskich duszach, teraz wreszcie wypowiadał to jawnie, jakiś pierwotny sakralny respekt, zainicjowany właśnie u progu życia, wraz z kroplami tej świętej wody, i rozbudowany potem przez porządne, zwłaszcza w dzieciństwie, katolickie wychowanie.

Owa woda zatem nie tylko obmyła nasze ciała, lecz i otworzyła nas na nasyconą „bojaźnią i drzeniem” świadomość. Świadomość, gdyby sięgnąć do najgłębszych jej złogów, nawet do +

nieuświadomianych wcale materii, przenikniętą mocno, niemal brutalnie, jakimś starym, jakimś archaicznym doznaniem. Jakimś magicznym przeświadczeniem, zawsze chyba związanym z poważnym doznaniem sacrum. I podpowiedziało nam ono, w cichej gwarze atawistycznego lęku, że „nie wolno”, że rzecz jest tabu. Tabu, czyli – trzymając się szkolnych niemalże definicji – czymś, czego pogwałcić nie można bez skalania tego czegoś albo siebie samego. I więcej jeszcze: bez narażenia siebie na niewymowną karę i grozę, które dadzą się porównać jedynie z karą i grozą śmierci, a nawet je po prostu oznaczać.

Rozerwalibyśmy bowiem swoim szyderczym w zamierzeniu aktem ściśle więzy „partycypacji mistycznej”, przyrodzonej, według Luciena Lévy-Bruhla, wszelkiej „świadomości pierwotnej”, A to ona właśnie – choćby z racji zaprzęskiej i szczególnej dziecinnej kąpieli w święconej wodzie oraz późniejszej socjalizacji poprzez kolektywny, rytualny i zmysłowy katolicyzm ludowy – w tej szczególnej chwili do nas surowo przemówiła. Mniej lub bardziej wyraźnie, mniej lub bardziej skrycie, w naszych odtworzeniach, przywołaniach, obrazach. W powidokach zniewolonych przez tabuizację, niedaleką od tabuizacji doświadczanej przez – jak to się jeszcze w Polsce mówi – „dzikusów”,

Umysłowość ludzi pierwotnych, pisał zatem ów znany antropolog francuski, jest z gruntu mistyczna, z uwagi na wyobrażenia zbiorowe, same w sobie mistyczne, które są integralną częścią całości percepcji. [...] Nie należy więc mówić [...], że ludzie pierwotni wyposażają wszystkie przedmioty postrzegane przez ich zmysły czy wyobraźnię w tajemniczą siłę, właściwości mistyczne, i że obarczają swoje postrzeżenia animistycznymi wierzeniami. Nie zachodzi tu bynajmniej asocjacja. Mistyczne właściwości przedmiotów i osób są integralną częścią wyobrażenia, które człowiek

pierwotny tworzy sobie na ich temat, i które jest w tej chwili niewidzialną całością. Tym samym w świadomości takiej wszelki obraz, wszelkie od-tworzenie „partycypuje” w naturze, we właściwościach, w życiu tego, czego jest obrazem. Partycypacja nie powinna być rozumiana jako sposób dzielenia, jak gdyby portret na przykład zabierał część sumy własności lub życia, które posiada model. Umysłowość pierwotna nie widzi żadnej trudności w tym, by życie to i te właściwości były zarazem i w modelu, i w obrazie. Na mocy istniejącej więzi między nimi, więzi przedstawionej pod postacią prawa partycypacji, obraz jest modelem. W dynamicznym ujęciu prawo partycypacji mistycznej oznacza – w przypadku świadomości, o której mówił Lévy-Bruhl – że umysł ludzki zawsze i wszędzie dostrzega przekazywanie właściwości przez przeniesienie, przez kontakt, przez skalanie, przez skażenie, przez nawiedzenie, przez wiele innych działań sprawiających, że dany przedmiot czy istota natychmiast lub po upływie jakiegoś czasu partycypują w danej właściwości, które go na przykład sakralizują lub desakralizują na początku lub na końcu ceremonii⁴.

Czyżbyśmy zatem, ja i mój przyjaciel, obaj przecież obmyci wodą chrztu, obawiali się naiwnie i jakoś „dziko” – nie chcąc właśnie z tego powodu szyderczo wkraczać w przestrzeń ceremonii i tym sposobem jej zamykać – ostatecznej, absolutnej desakralizacji? Ostatecznego zeświecczenia, jakie mogło płynąć ze sztubackiego prowokacyjnego katharsis – przemienienia „wody święconej” w „wodę zwykłą” (i oczywiście na odwrót)? I związanej z tym wszystkim pomsty Boga?

Nie można dać jednoznacznej odpowiedzi, choćby dlatego, że bluźnierstwo – nawet wtedy, kiedy chodzi o prostacki akt blasfemiczny – nie poraża wcale sacrum, lecz na mocy przeciwnego paradoksu, wynikającego z jego am-

biwalencji, z nierozdzielonego zespolenia w jego wnętrzu tremendum i fascinans, świętej grozy i świętego zachwycenia, pracuje zgoła przeciwnie: wypiętrza je, potęguje. Ale nie tylko o to chodzi.

2.

Woda święcona bowiem nie jest jedynie wodą chrztu (choć z tym sakramentem kojarzą ją najczęściej zwykli wierni zaludniający chrześcijańskie kościoły). Jest najpierw, przede wszystkim, wodą. I nie traci nic z owej przedustawnej pierwotności, swej kondycji materia prima nawet wówczas, kiedy wprzęgnięta zostaje w służbę chrześcijańskich sakramentów – i całą zresztą chrześcijańską obrzędowość.

Muszę zatem teraz spojrzeć w lustro – albo, jeśli ktoś woli, studnię – tej wody. I przyjrzeć się jej elementarnym – nigdy przecież nie ustającym, nigdy przecież nie zapoznanym – sensom. Temat jednakże jest „nie do wyczerpania”, a symbolizm uniwersalny, najeżony nieskończonym wręcz mnóstwem przejawień, mnóstwem słów, wyobrażeń czy gestów – aż do ich absolutnej niemal konwencjonalizacji, aż do ostatecznego niemal „wytarcia” czy zużycia, aż do nadużyć i poetyki grotesque. Więc to będzie spojrzenie tylko ulotne, płytkie. Tylko wędrujące tu i tam, bez zakotwiczenia w jakimś szczególnym miejscu (no, może nie do końca: jest bowiem taki jeden port pewny...).

3.

Woda – mówi jeden z najlepszych przewodników w tej pospiesznej wędrowce przez symbole i znaki – ma dwie zasadnicze właściwości, które decydują o jej znaczeniu: jest bezkształtna i nieodróżnicowana, i dlatego w tradycyjnych

imago mundi może być ulokowana przed początkiem Kosmosu. Jest to materia prima, z której wyłoniły się świat i życie. Związek z zaświatami uzasadnia wykorzystanie wody w rytualnym oczyszczeniu; można też na wodę przenieść nieczystość [...]. Ponieważ woda jest niezbędna do vegetacji i życia, jej zatrzymanie (czy zabór) i susza oznaczają groźbę jałowości i śmierci, spadający zaś z niebios [...] deszcz zaptadnia ziemię i przywraca normalny bieg życia. Wodę uważano za symbol wieczności, ale także destrukcji (niszczycielskie i oczyszczające sity potopu)⁵.

Podstawową własnością wody, ujawniającą się w związanych powszechnie z wodą praktykach klasyfikacji, przyporządkowania i oznaczania – jak zwraca uwagę autor owego pożytecznego leksykonu – jest jej amorficzność, w tradycyjnej świadomości zawsze uznawana za najbardziej istotną z cech zaświatów. Uwidocznia się to we wszelkich sytuacjach przemiany, procesach przekształcenia, które wymagają czasowej dezorganizacji jako punktu wyjścia do osiągnięcia nowej postaci, jak i w stanach inicjalnych, mitycznych początkach świata i vegetacji. Woda jest więc medium przemiany przy przechodzeniu z jednej strefy bytu do drugiej. Zanurzenie w wodzie oznacza powrót do chaosu. Może to być ostateczna śmierć fizyczna i rozpoczęcie drogi na „drugi brzeg”, jak i przejściowe, powtórne znalezienie się w tym, co jeszcze nieokreślone. Wynurzenie się z niej jest więc jednoznaczne z odrodzeniem, pojawieniem się nowego człowieka [...]. Znany wielu mitologiom potop odpowiada w planie kosmicznym inicjacji, chrztowi, przez który zostają zniweczone kształty i właściwości jednostki, co jest niezbędnym warunkiem, aby mogła się ona odrodzić do nowego życia⁶.

Chrzest zatem – pomijając na razie wszystkie inne odniesienia – sięgałby w istocie ku jakiemuś +

najbardziej (z perspektywy nowego, odrodzonego życia) fundamentalnemu „przedtem”, oznaczającemu niegotowość i zarazem przejściowość, połączoną z unicestwieniem dotychczasowych form egzystencji, z wydaniem ich na porzucenie i pastwę śmierci. To z jednej strony. Z drugiej natomiast, przywoływałby stan preegzystencji, będącej niedokonaniem, jakimś „jeszcze nie”, inną od poprzedniej gotowością, w której gotuje się właściwa i zupełna już egzystencja. Byłby to zatem stan swoistego kalektwa czy przynajmniej nieukształtowania, albo jakaś hipostaza tego, co dopiero naprawdę ma nastąpić. Stan pierwotnej możliwości, potencjalności istnienia. Stan chaosu, symbolizowanego w mitach i opowieściach – i w wyobraźni takich artystów, jak Hieronim Bosch – przez wyobrażenia bytów nienaturalnych, istoty hybrydalne, demoniczne, potworne, zanurzone nierzadko w szarawy, wodnisty sen o pęczniejących i nabierających życia rzeczach, oszałamiający sugestią przerażenia, zbyt obcych, aby mogły mieć normalne uczucia, posłusznych obłądnym prawom swojego własnego świata⁷.

Jest to zatem czas mroku i nieokiełznania. Ale też – aby sparafrazować słowa Artura Rimbauda z jego „Listu jasnowidza” – czas miedzi, która bez swej winy, musi obudzić się jako trąbka.

Z wody wyłania się więc nowe życie. [...] Chrzeszt w rzece Jordan i czterdziestodniowy pobyt na pustyni [...], a więc także w obszarze zaświatowym, przygotowuje Chrystusa do podjęcia misji [...]. Ryba, jeden z wczesnych znaków chrześcijaństwa, symbolizuje także obietnicę nowego życia⁸.

4.

Czego zatem obawialiśmy się wówczas, stając w warmińskim kościele przed pokusą szyderstwa i – ostatecznie – ją odrzucając? Powrotu w głąb pierwotnego chaosu, z jego nieuporządkowaniem i grozą? Brutalnego zejścia w brudne łono materia prima, w mętne wody płodowe, z których nie zostaliśmy obmyci – poddani zbawiennemu oczyszczeniu przez świętą wodę chrztu? Ponownej niegotowości, ponownego poddania się hipostazie, potencjalności, z konieczną, nieuniknioną dla niej bolesnością przebudzenia się w nowej formie, jako nowa trąbka? Samego przekroczenia granicy, różnych granic – między sobą a nie-sobą, między tym a tamtym światem, z nieuchronnym dla takiego przejścia ryzykiem? Swoistej transgresji *à rebours*, której przecież towarzyszy zawsze taka lub inna groza, wiążąca się ze świadomym naruszeniem tabu?

Jakakolwiek by nie była na te pytania odpowiedź, oznacza ona w każdym przypadku symboliczne, więc najbardziej wymowne, porzucenie wspólnoty – ekumeny czy, jeśli ktoś tak woli, polis. I z tej właśnie racji przypomina akt radykalnej apostazji, akt porzucenia i wyrzeczenia się Kościoła (albo, to raczej, jest substytutem tego aktu). Posmak grozy, posmak tremendum, jaki się przez chwilę pojawia, ma swe źródło w pewnej ambiwalencji. Woda bowiem, zwłaszcza woda święcona, jako istotne medium przekształcenia, usytuowane symbolicznie na progu, na granicy, wzbrania co prawda pomieszczenia *sacrum* i wspólnoty, ale też zarazem oczyszcza z własności ekumeny, pozwalając ją opuścić, i wprowadza w jej uświęcony porządek. Także wielokrotnie wspomniane przez Pismo obmycie stóp wskazuje, niemal dosłownie, na tę ambiwalencję. Ale – warto zwrócić na to szczególną uwagę – znajduje ono w Ewangelii pewien paradoksalny wyraz i łączy się z przeniesieniem: z opuszczającego

wspólnotę na pozostających w niej. Oto bowiem Jezus – tuż przedtem, zanim osieroci ekumenę i wejdzie w śmierć, powracając do „domu Ojca” – myje stopy apostołów.

5.

Tak czy inaczej, woda – jako sakralne medium, jako fundamentalny symbol – ma, mimo wszystko, stały sens, nieusuwalne, nieodrodne znaczenie (to ten właśnie jedyny „port” w wędrówce przez znaczenia, o którym wspominałem). I nawet wtedy, kiedy pojawia się w symbolice narodzin czy odrodzenia, wypowiada się o śmierci, przede wszystkim o śmierci. Wszystko, co żyje, co się właśnie pojawia w świecie, rodzi się wszakże ku niej; narodziny „nowego człowieka” są zarazem śmiercią „starego”, co odsłania zresztą dosadnie, przenosząc to metaforycznie na każdą postać życia, dialektyka świętego Pawła, obecna w jego chrystocentrycznej opowieści o zmartwychwstaniu⁹. Każdy z rytów przejścia, rites de passage, jest rytym śmierci – także obrzędy narodzin i zaślubin, które często łączą się w różnych religiach i kulturach z rytualnym obmyciem czy kąpielą (dziecka, nowożeńców, panny młodej), a w wielu Kościołach chrześcijańskich z pokropieniem wodą święconą.

To jasne zatem, że woda pojawia się też niemal wszędzie w rytuałach grzebalnych. Ale tylko w chrześcijaństwie, właśnie za sprawą dialektycznego rozumu świętego Pawła, nastąpiło radykalne i otwarte sprzęgnięcie w jeden gordyjski węzeł chrztu i śmierci, skazujące skądinąd na nieustające oscylacje, na nieustające żeglowanie między kresem i początkiem, zgonem i życiem. I tym samym na nieustającą ich zamienność, na zapętlenie, z którego nie sposób – jeśli przystać na Pawłowe metafory i podstawienia – się uwolnić:

Czyż nie wiadomo wam, że my wszyscy, którzyśmy otrzymali chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie – jak Chrystus powstał z martwych dzięki chwale Ojca. Jeżeli bowiem przez śmierć, podobną do Jego śmierci, zostaliśmy z Nim złączeni w jedno, to tak samo będziemy z Nim złączeni w jedno przez podobne zmartwychwstanie. To wiedźcie, że dla zniszczenia grzesznego ciała dawny nasz człowiek został razem z Nim ukrzyżowany po to, byśmy już więcej nie byli w niewoli grzechu. Kto bowiem umarł, stał się wolny od grzechu. Otóż, jeżeli umarliśmy razem z Chrystusem, wierzymy, że z Nim również żyć będziemy, wiedząc, że Chrystus powstawszy z martwych już więcej nie umiera, śmierć nad Nim nie ma już władzy. Bo to, że umarł, umarł dla grzechu tylko raz, a że żyje, żyje dla Boga. Tak i wy rozumieście, że umarliście dla grzechu, życie zaś dla Boga w Chrystusie Jezusie. Niechże więc grzech nie króluje w waszym śmiertelnym ciele, poddając was swoim pożądliwościom. Nie oddawajcie też członków waszych jako broń nieprawości na służbę grzechowi, ale oddajcie się na służbę Bogu jako ci, którzy ze śmierci przeszli do życia, i członki wasze oddajcie jako broń sprawiedliwości na służbę Bogu. Albowiem grzech nie powinien nad wami panować, skoro nie jesteście poddani Prawu, lecz łasce (Rz 6, 3–14).

6.

Paweł nie jest zresztą jedynym apostołem, który posyła nas w tę drogę bez wyjścia. Wtórą mu eschatologiczną wizją z Pierwszego Listu świętego Piotra, która później stała się zresztą osnową teologicznego mitu, ostatecznie ukształtowanego w formule Składu Apostolskiego w początkach VI wieku, o zstąpieniu +

Chrystusa „do piekiel” (czy też, jak to się ujmuje dzisiaj w prawowiernym katolicyzmie, ograniczając zasięg tego zbawczego aktu, jedynie do „Otcłani Ojców”): Chrystus bowiem również raz umarł za grzechy, aby Was do Boga przyprowadzić; zabity wprawdzie na ciełe, ale powołany do życia Duchem. W nim poszedł ogłosić [zbawienie] nawet duchom zamkniętym w więzieniu, niegdyś niepostusznym, gdy za dni Noego cierpliwość Boża oczekiwała, a budowana była arka, w której niewielu, to jest osiem dusz, zostało uratowanych przez wodę. Teraz również z tym wzorem ratuje was ona we chrzcie nie przez obmycie brudu cielesnego, ale przez zwróconą do Boga prośbę o dobre sumienie, dzięki zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa (1 P 3, 18–21). I dalej: Dlatego nawet umarłym głoszono Ewangelię, aby wprawdzie podlegli sądowni jak ludzie w ciełe, żyli jednak w Duchu – po Bożemu (1 P 4, 6).

7.

Tak woda chrztu przemieniała się w wodę śmierci, woda zagłady (potopu) – w wodę życia nowego i zmartwychwstania.

W swojej praktyce rytualnej chrześcijanie pierwszych wieków dawali jeszcze otwarty wyraz tej szczególnej eschatologicznej, tremendalnej alchemii. W dawnym Kościele większość nowych chrześcijan w Wielką Sobotę – złożywszy wyznanie wiary (na przykład recytując Skład Apostolski albo inną konfesyjną formułę) – przyjmowała chrzest. Współczesna katolicka liturgia Wielkiej Soboty, skądinąd przejmująca, osłabiła w znacznej mierze takie czytelne powiązanie. Dziś zatem, po błogosławieństwie wody, najczęściej odnawia się jedynie przyrzeczenia chrzcielne i modli się za tych, którzy przyjmują ten sakrament. Trzymając zapalone świece, wierni wyrzekają się też grzechu i wszystkiego, co prowadzi do zła

i szatana, a następnie wyznają wiarę w Ojca, Syna i Ducha Świętego, Kościół, obcowanie świętych, odpuszczenie grzechów, zmartwychwstanie ciała i życie wieczne. W Kościele prawosławnym natomiast teologia zstąpienia do otchłani stanowi zasadniczą treść nabożeństw Wielkiej Soboty, do której obficie nawiązują teksty liturgiczne. Pieśni Pochwalne jutrzni Wielkiej Soboty mówią tedy:

O Życie, jakże to umierasz,
jakże to zamieszkujesz w grobie,
a jednak śmierci władzę kruszysz
i umarłych podnosisz z otchłani?

A wtórują im kanon Wielkiej Soboty (Nienawistna Otchłań została bowiem zniewolona), wersety przed procesją na jutrzni Wielkiej Soboty oraz hymn świętego Jana Damasceńskiego o Zmartwychwstaniu Pańskim, śpiewany w Kościele prawosławnym i grekokatolickim podczas nocnego nabożeństwa paschalnego.

Kontrast taki to jeszcze jeden dowód, że chrześcijaństwo współczesnego Zachodu, także coraz bardziej Polski, „wymyte” jest w znacznym stopniu z pierwiastka tremendum, „świętej grozy”, I niechętnie spogląda w tamtą stronę – w stronę śmierci, cierpienia, męki, jamy piekiel i czyścowego ognia, w stronę winy, grzechu i kary oraz Bożego gniewu i człowieczego lęku. Skłania się natomiast mocno ku temu, co w religii stanowi fascynans, zachwycenie, co eksponuje radosną ekstazę, miłosne i łatwe uniesienie, co szuka – w świecie, w doczesnym życiu, nie poza nim – znaków pewności i nadziei, nie wątpliwości i tragicznych przeznaczeń. I dzieje się tak mimo powszechnego sceptycyzmu i rozsyпки tradycyjnych prawd wiary. Bliski zatem – na przykład – jest jej roztańczony i przyjazny Jezus „dzieci-kwiatów”, słodki Jezus, do którego można pielgrzymować gromadnie z beztroskim śpiewem, nie zaś Jezus, który sroży się i przegania przepokupniów

ze świątyni. Jezus, który lęka się śmierci, poci się krwawym potem. Jezus bolesciwy, który cierpi mękę i w najwyższej samotności umiera na czarnym drzewie krzyża, a potem zstępuje w podziemia, do straszego królestwa cieni i szatana.

Ale my obaj, ja i mój przyjaciel-poeta, chowani byliśmy do wspólnotowej wiary w czasach, kiedy pierwiastek *tremendum* „pracował”

jeszcze w niej mocno. I kiedy echo jego nauk o grzechu i winie, o karze i o śmierci rozlegało się w nim niczym trąba Sądu Ostatecznego. Stąd też, pokropieni odpowiednio i niejako „na zawsze” wodą chrztu, nie skalaliśmy siebie i jej zdrożnym uczynkiem: nie chcielibyśmy bowiem, aby pola śmierci – co uznaliśmy chyba podświadomie za absolutnie pewne – otworzyły się przed nami zachłannym rozłogiem. ●

¹ **Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym**, przekł.

Tyloch W., wstęp i konsultacja naukowa Mędała S., Warszawa 1997, s. 88.

² Andrzej i Baltazar Batory, bracia książęcej krwi, nie zostali bowiem tu pochowani. Przy tej okazji przypomnieć chciałbym (nie mogę inaczej) pierwszego z nich, humanistę i polityka, mecenasa sztuk i zawołanego myśliwego, awanturnika i ważnego człowieka Kościoła – nie tylko dlatego, że nie miała część swego krótkiego życia (1563–1599) spędził w moim rodzinnym Lidzbarku Warmińskim, ówczesnym Heilsbergu, stolicy uzależnionego całkowicie od Polski książęco-biskupiego państewka warmińskiego. Że – jak to było często w ówczesnym zwyczaju – miejsce mojego z kolei chrztu, lidzbarski kościół farny pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, dziś bazylika, pełnił dlań okazjonalnie funkcje biskupiej katedry. Był ów Andrzej Batory bratankiem króla Stefana, co pozwoliło mu – choć nigdy nie uzyskał święceń kapłańskich, nawet niższych, a jedynie subdiakońskie (i to dopiero w 1597 roku) – na zostanie, kolejno, kanonikiem warmińskim (1581), opatem i proboszczem miechowskim (1583), biskupem koadiutorem ordynariusza warmińskiego Marcina Kromera (1584), kardynałem-diakonem (1584), z tytułem Sancti Adriani in Foro (zmienionym w 1587 roku na Sancti Angeli in Foro Piscium), księciem-biskupem warmińskim (1589) i, niezależnie od tej nominacji, księciem-biskupem sambijskim (1589). Kandydował też po śmierci stryja (1586), przy mocnym poparciu kanclerza Jana Zamoyskiego, do tronu polskiego, ale kandydatura ta spotkała się z ogromnym sprzeciwem i oczywiście nie przeszła. W 1599 roku Andrzej Batory zbiegł z lidzbarskiej

stolicy i ruszył do Siedmiogrodu, aby objąć tamtejszy tron książęcy, przekazany mu przez brata Zygmunta. Został wszakże pokonany w bitwie pod Sybinem przez hospodara wołoskiego Michała Walecznego i zamordowany podczas ucieczki do Mołdawii (3 listopada 1599 roku w Pasztorbuekk koło Csikszentdomokos, czyli rumuńskiego Sândominic) przez chłopów szeklerskich, a może i Czangów, w każdym razie przez członków któregoś z tych zagadkowych i egzotycznych dla nas plemion, istniejących do dzisiaj, które wprawdzie przyjęły języki madziarskie, ale nie utożsamiają się z Węgrami, wywodząc się zapewne z zadziwiającej mieszaniny pochodzenia azjatyckiego (Hunowie, Awarowie, Chazarzy, Kabardowie, Kipczacy, Pieczyngowie, Gepidowie, Wołosi, ludy ugrofińskie).

³ I jako dojrzały już człowiek – muszę dodać – odszukać w Republice Federalnej niemieckiego ministranta, który jako 14-latek asystował w tym obrzędzie, i zaprzyjaźnić się z nim, aby wspólnie dać początek odzyskiwaniu (z krainy śmierci, z krainy zapomnienia) Atlantydy Północy, Borussii.

⁴ Lévy-Bruhl L., **Czynności umysłowe**

w społeczeństwach pierwotnych, przekł.

Szwarcman-Czarnota B., Warszawa 1992, s. 58–129, passim.

⁵ Kowalski P., **Leksykon znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie**, Warszawa 1998, s. 609.

⁶ Ibidem, s. 511.

⁷ Levey M., **Wczesny renesans**, przekł. Bogdański A., Warszawa 1972, passim.

⁸ Kowalski P., op. cit., s. 611–612.

⁹ Zob. zwłaszcza 1 Kor 15, 35–48. Pismo Święte cytuję w przekładzie Biblii Tysiąclecia.